

Kronika tygodniowa.

I trzecia wielkopostna kronika musi być dostosowana do poprzednich, by załosny nastrój dotrzymać bodaj do środopostcia, a potem przygotowywać się powoli do nadchodzących świąt Wielkiejnocy. Będą one nad wyraz smutne, bez szynki, kiełbasy i innych świątecznych delikatesów, które należą dziś do rzadkości i płacone bywają powiedzmy, na wagę złota, ale mimo to całemi masami wywozi się je ku Zachodowi, to jest w stronę Wiednia. Według ponieszanych obliczeń, przeprowadzonych przez miejskie Biuro statystyczne, pensja urzędnika dziewiątej rangi, i to już z dodatkiem drożyznianym, wystarczy najzupełniej na sprawienie sobie średniej wielkości szynki.

Ale, ponieważ człowiek żyje nie tylko samą szynką, ale potrzebuje jeszcze i innych artykułów spożywczych, potrzebuje też ze względu na moralność publiczną okryć czemś, bodajby jaką peleryną, swą nagosę, z tradycyjną szyneczką w tym roku należy się pożegnać.

To samo musi się powiedzieć o babach, jajecznikach, kołaczach, mazurkach i innych podobnych bałachach, które również spadają z porządku dziennego, z powodu braku jaj, mąki, cukru, tłuszczów i innych, do ich wyrobu potrzebnych ingrediencji.

Na stole świątecznym pozostanie chyba gałązka bukszpanu, którą każdy może sobie wetknąć, guzie mu się tylko podoba, na znak radości, że tak mitych dożyliśmy czasów.

I nie dziwię się też, że minister od wyżywienia ludności, czyli od tak zwanej popularnie amunicji żółdkowej, pan Höfer, widząc owe pomyślne konjunktury, a mając sposobność robienia jeszcze pomyślniejszych horoskopów na przyszłość, podał się do dymisji i na pożegnanie otrzymał order żelaznej korony pierwszej klasy z dekoracją wojenną i uwolnieniem od taków.

Oznaczenie to należało mu się słusznie, walczył bowiem z żelazną energią i konsekwencją o to, by zwłaszcza Wiedniowi nie nie brakowało. O Galicyi stałe zapominał, jeżeli chodziło o to, by jej coś dać, pamiętał natomiast, ilekroć przyszło do tego, by stamtąd coś wyciągnąć. Do owej dekoracji nie otrzymał tylko mieczów, ale to zupełnie słusznie, gdyż w samej rzeczy nie mógł znaleźć miecza, by rozciąć ów węzeł gordyjski, jakim jest obecnie sprawa wyżywienia ludności. Zresztą jemu nie jest na imię Aleksander, tylko Antoni, jeśli się nie mylę, a właśnie Aleksander umiał sobie dawać radę z różnymi węzłami i węzłkami choć był także generałem i to macedońskim.

Łabęzizm śpiewem ekscelencji Höfera były lamente nad lekkomyślnością Krakowian, którzy w tak ciężkich czasach, gdy Wiedeń nie może sobie na coś podobnego pozwolić, jedzą białe bułki. Była o tam mowa na posiedzeniu Rady przybocznej przy Urzędzie wyżywienia. Pan minister wyjął z jednej kieszeni list od pewnego oficera, który mu donosi, że w Krakowie na publicznych placach leżą całe stosy białych, jak śnieg bułek, wspaniałego, również białego chleba, dostaje się nawet więcej, niż się żąda, słowem, że Kraków to po prostu ziemia obiecana, nie płynąca wprawdzie mlekiem i miodem, ale tylko z tej prostej przyczyny, iż i tych artykułów „chwilowo” braknie.

Z drugiej kieszeni powinien był pan minister wyjąć na dowód bułkę i pokazać ją zgromadzonym *ad oculos*, ale tego nie zroził, ponieważ ją z ad przedtem i podobno mu nawet smakowała. Ale zgubowali się o to inni koledzy z ławy ministerialnej i powiedzieli:

— Tak?... To z nami się nie podzielił?... W takim razie niema dlań miejsca między nami!

I to ma być właściwym powodem dymisji.

Odtąd nie będzie już ministra żywnościowego, sprawy te będzie teraz załatwiał prezydent i to nie wojskowa osoba, ale cywilna. Czy owa zmiana osoby pociągnie za sobą poprawę stosunków, zobaczymy, w każdym razie trzeba być na to przygotowanym, iż i następca będzie się wobec Galicyi odnosił z tą samą żyłczością, co i poprzednik, któremu zupełnie szczerze życzymy „szczęśliwej drogi” i lepszego powodzenia na jakimś innym stanowisku.

Ale wracam jeszcze do świąt Wielkiejnocy. Jakby na złość, wypadają one prawie zawsze pod koniec miesiąca, więc w okresie, gdy człowiek już resztkami goni. W tym roku usadowiły się w marcu, dnia 31, to jest wtedy, gdy nikt porządny już pieniędzy nie ma, kończą się zaś 1 kwietnia, to jest w dniu *prima aprilis*, gdy się ich jeszcze nie ma. A co znaczy staropolska góscinność bez monety? Sama dobre chęci nie wystarczą, jak się o tem mieliśmy sposobność przekonać, choćby w karnawale. Żaden wieczerzak tańcujący nie udał się, o ile panie w torebkach nie przy-

nosły ze sobą zamiast cukierków kromki chleba. W tych czasach i o ten chleb, ze względu na zbliżający się przedłówek będzie bardzo trudno nawet w Krakowie, choć o nim ekscelencja Höfer miał tak dobre, a niezastępowane bynajmniej wyobrażenia.

Nie wyklucza to jednak, że mąki, ale bez kartek, więc po wyższej, niż urzędowo cenie, można dostać, ile tylko dusza zapagnie (chciałem powiedzieć „żółdek”, to coż dusza może mieć z mąką wspólnego?...). Stosunki te zmieniają się dopiero wówczas, gdy zawrzemy pokój, ale nie z jednym tylko sąsiadem, lecz z całą ową bandą, która dybie na naszą zgubę, ale widzi, że nie da rady. To i jej się leje już za kołnierza.

Tak maie przynajmniej pewniał jeden ze znających się na rzeczy, bo sam „robi w różnych artykułach”. Powiedział mi tylko tyle:

— Będzie pan kronikarz widział, że niech tylko przyjdzie do pokoju, ale takiego prawdziwego, nie z tym cyganem Trokim, to wszelkie towary będą się walić w rynsztokach. Nikt ich nie będzie chciał kupić taka ich będzie ofiśność...

Byłoby przecież daleko lepiej, gdyby już teraz puszczano je częściowo w obieg. Zaradziłoby się ogólnej biedzie, a i kieszeń sprzedawców nie ucierpiałaby nie na tem. W dobrze zrozumianym własnym interesie niech się więc nad tem zastanowi kupcy, a zmażą w ten sposób bodaj część winy, jaka na nich ciąży, i będą mogli kiedyś, gdy przyjdzie do obrachunku, liczyć na pewną wyrozumiałość. Bo do tego wreszcie przyjdzie musi. Opinia policzy się z tymi, którzy darli z nas skórę w tym czasie, gdy było najciężej!

A czas ten może już bliżej, niż dalej. Hrabia Czernin objeżdża „rzemiennym dyszlem” sąsiadów i z każdym się targuje, nie wiem tylko, czy każdemu robi takie prezenty, lub choćby obietnice, jak Ukraincom. W każdym razie można zupełnie śmiało powiedzieć, że o pokoju coraz głośniej się mówi, a jeden z mych znajomych, który w tych właśnie dniach kupił sobie kamieniec, utrzymuje stanowczo, że pokój ogólny musi być zawarty jeszcze w tym roku. Że zaś dotąd żadna z jego przepowiedni się nie spełniła, jest pewny, że z tą będzie inaczej, boć niema reguły bez wyjątku. Jeśli się tak stanie, jak powiada, życzę mu zdrowia, humoru, apetytu i jeszcze drugiego, a może i trzeciego kamienicy, bo wiadomo, że tylko początek jest trudny, ale gdy się przetamie pierwsze lody, wszystko idzie jak po masle, mydle lub waselinie.

Na razie jednak, zanim Anioł pokoju otrąbi te radosne wydarzenia całemu światu, musimy śpiewać gorzkie żale, nie tylko dlatego, że obecnie wielki post, ale i z tej także przyczyny, że gorzko nam w samej rzeczy, a niema czem ostodzić sobie żywota.

Kartki cukrowe są, to prawda, ale cukru brak, sacharyny obiecał mi dostarczyć pewien aptekarz, ale dopiero po skończeniu się ewentualnego strejku, zapowiedzianego przez współpracowników aptekarskich, o ile ich postulaty nie zostaną uwzględnione.

Taki strejk jest dziś nawet sympatyczny. Gdyby tak zastrejkowali wogóle lekarze, aptekarze i przedsiębiorcy pogrzebowi, być może nauczylibyśmy się obchodzić bez nich i jestem pewny, wyszlibyśmy na tem jak najlepiej. O egzekutorach nie mówię, Pismo święte bowiem głosi: „Ojdaż Bogu, co boskiego, a cesarzowi, co cesarskiego”, egzekutor zaś jest przecież, reprezentantem władzy i w jej imieniu składa nam wizyty.

Panowie farmaceutyci, o ile w swym zawodzie przyzwyczajeni są do bardzo skrupulatnego mierzenia i ważenia i, jako ludzie praktyczni, wołają raczej niedowazyć niż przewazyć, co mogłoby zaszkodzić i choremu i ich kieszeni (o ile sami są pryncypałami, lub pryncypałkami...), o tyle znów w danym wypadku stanowczo przekroczyli miarę. Czasy są ciężkie, to prawda, ale ich żądanie podwyższenia płacy, jest stanowczo zbyt wygórowane. Magister, po uzyskaniu dyplomu, ma otrzymywać jako *minimum* osiemset koron miesięcznej płacy, pracodawca ma nadto opłacać kaucję chorych, podatek, fu dusz emerytalny i t. d. co razem w kupę wzięwszy, wyniesie dziewięćset koron miesięcznie. Czy to może nie jest zbyt wiele? Ja myślę, że tak, zwłaszcza, jeżeli się porówna z tem żądaniem pobory urzędnika, który skończył gimnazjum, zdał maturę, uczył cztery lata na uniwersytecie praktykował bezpłatnie, a potem musiał służyć długie, bardzo długie lata, nim się dochrapał takiego królewskiego wynagrodzenia. A takich, którzy je osiągnęli, nie jest zbyt wielu, w większości pozostać ono musi w sferze pobożnych życzeń i nic więcej.

I inne postulaty panów farmaceutów i pań farmaceutek są również przesadne. należy im przeto przypomnieć słowa ministra Kobera, który swego czasu odezwał się do deputacji współpracowników aptekarskich, upominających się o poprawę bytu, mniej więcej w te słowa:

— To się panom (wówczas pań nie było jeszcze...) słusznie należy!.. Ale pozwólcie sobie zrobić uwagę, że, gdyby wszystkie wasze żądania miały być uwzględ-

nione, w takim razie ideałem każdego człowieka musiałoby być zostanie magistrem farmacyi!...

P. T. Farmaceutom życzę, by starania ich odniosły skutek jak najpomyślniejszy, w danym zaś wypadku sam jestem gotów przerzucić się do tego zawodu i pełnić bodaj do końca życia obowiązki choćby tylko sustentanta. Zarobię wówczas nawet więcej niż w niewdzięcznym dziennikarskim zawodzie, który jest wprawdzie bardzo zaszczytny, ale nie tak znów popłatny, jeśli się chce mieć nie tylko tytuł, ale i charakter dziennikarza!

Tymczasem dziś tak się dzieje, że najrozmaitsi ludzie, którzy na dziennikarstwie i dziennikarzach zrobili dobry interes, ale sami dotąd ani jednego artykułu nie napisali, każą się tytułować redaktorami, a postępowaniem swem przyczyniają się tylko do obniżenia powagi tego zawodu.

Kawcy mają swoją akademię, której tytułują się absolwentami, tancmajstry swe konserwatorium sztuk łamanych, tylko „pana redaktora” nikt nie pyta czy ukłonił bodaj normalnie z dobrym skutkiem. Pod tym względem stoi on na równi z „profesorem czarnej magii”, który sam się nim mianuje i innym tak tytułować każe.

A tak być nie powinno! Istnieją stowarzyszenia zawodowe, jak lwowskie Towarzystwo dziennikarzy lub krakowski Syndykat, które powinny stać na strazy godności tego stanu i chronić go od niepowołanych intruzów, nic z nim wspólnego nie mających. Trzeba zaś zawsze pamiętać o tem, że wydawca jakiegos tam świstka to nie redaktor ani dziennikarz, ale przemysłowiec, jeśli nawet nie szantażysta, który jakiś własny interes ma na celu, a wie jaką jest i być powinna potęga prasy i... że papier jest cierpliwy. Taki chwast należy plenić i wyrwać go, ale razem z korzeniami, nim jeszcze tak się rozrośnie, iż gałęziami swemi sięga murów Frynina!

A *propos* tego ostatniego muszę zaznaczyć, że nasza piec nadobna, która zawsze spieszy do sali sądowych rozpraw, ilekroć spodziewa się tam ustyszczyć lub zobaczyć coś, targającego nerwy, uważa „się” za pokrzywdzoną nie mogąc się bodaj przypatrzeć mordercy Vresky'emu. Rozprawa odbyła się wprawdzie w sali sądów przysięgłych przy sądzie krajowym karnym, ale prowadziła ją wojskowość, a wojskowa procedura nie przewidziała, że kobieta może coś z tego skorzystać dla siebie lub swego otoczenia i dlatego nie dopuszcza pięci nadobnej na salę.

Ja myślę, że to i racya Sąd to nie teatr, ale przykra i to nawet bardzo przykra rzeczywistość, kto zaś chce już koniecznie szarpać swe nerwy, ma na to bodaj kino z jego „detektywicznymi dramatami”.

Kobiety narzekają, że daleko się im krzywdzi i wytykają z ironicznym uśmiechem, że, jeżeli idzie o świadczenia wojenne, to są dobre, a odmawia się im tak niewinnej rozrywki. Ponieważ jedna z nich prosiła mnie o to, bym tę sprawę poruszył, czynię w myśl jej życzenia, ale ze swej strony pozwalam sobie dodać komentarz, że miejsce niewiasty w domu, przy ognisku rodzinnem, na które ma uważać, by nie zgasiło, a nie na sali rozpraw, gdzie się niczego nie nauczy, nie nie skorzysta.

Ale kobieta musi zawsze zostać kobietą, której najchętniej smakuje zakazany owoc. Wstępują w ten sposób w ślady swej prababki Ewy, która za swą ciekawość i łakomstwo musiała się „wyewaknować” z raju.

Także kilku z grona krakowskich radców miejskich nadeszło mi ustne i pisemne ubolewania *ex re* wzmianki w ostatniej kronice o korzyściach, jakie są połączone z zasiadaniem na fotelu radzieckim w pałacu Wielopolskich. Każdy z nich jest tego zdania, że chyba jego nie ram na myśl, gdyż on „niech go tak szlag trafi, ale nie zaraz i nie na tym świecie”, jeśli się stara o mądre, to by ajmniej nie dla interesu, ale jedynie ze względu na dobro miasta, któremu chce służyć wedle sił i wale możliwości. Kiebasa wyborcza nie jest uczem tak zdrożnem, jak się ją i raz przedstawia. Jest to jedynie sposób uprzyjemnienia wyborcom czekania, nim się docisną do urny wyborczej, ale bynajmniej nie wpływa na zmianę ich przekonań politycznych.

I w to chcę wierzyć i dlatego o tem wspominam, zwłaszcza, że stymy w przededniu wyboru głowy miasta. Kto nią będzie, śpiewają już o tem wróble, a krakąby i gawrony, gdyby ich w roku ubiegłym nie wyewaknowano z miejskich plantacji. Gdy ich już nie było, dopiero wówczas przypomniano światu, że mięso, zwłaszcza młodych gawronów, jest bardzo smaczne i pożywne.

Ale nie o to chodzi, lecz o nowego pana prezydenta, który w tym właśnie tygodniu ma wyjść z urny wyborczej. Nie będzie z tem wiele kłopotu, obejdzie się nawet i bez kiełbasy wyborczej, gdyż kandydat większości jest już zamianowany, a mniejszość nie ma nic do gadania.